

Zacieranie **afery wizowej** | Polska **wymiera** | „Sprawa” **Lewandowskiego**
Dzieciobójcy z Czernik | **Leżajsk** poległ | Dynastia **Kulczyków** | **Znachor 3.0**

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

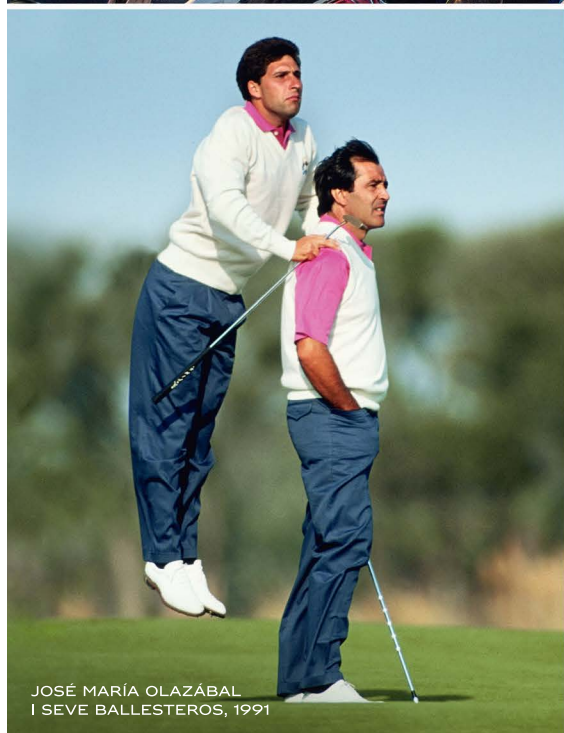
TYGODNIK, nr 40 (3433), 27.09–3.10.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Donald Tusk w wywiadzie dla POLITYKI:

WYBORY TO STARCIE POLSKA KONTRA PiS





[Kup książkę](#)



TO NIE JEST ZWYKŁY TURNIEJ

To spotkanie na szczycie pomiędzy Starym i Nowym Kontynentem. Spotkanie drużyn złożonych z największych mistrzów i najbardziej obiecujących talentów tej dyscypliny, które pod przewodnictwem doświadczonych kapitanów reprezentują dwie strony Atlantyku. Ale znakomity skład nie jest jeszcze gwarancją zwycięstwa. Ponieważ nie chodzi o indywidualną doskonałość, lecz o przełożenie wirtuozerii każdego z graczy na sukces całego zespołu i pokazanie absolutnego piękna tej gry. To właśnie ten drużynowy duch, wyjątkowy w swojej istocie, od niemal stu lat inspiruje najbardziej pamiętne pojedynki i utrwala legendę golfa. Witamy na turnieju Ryder Cup.

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL
DAY-DATE 40



WORLDWIDE
PARTNER

RYDER CUP
MARCO SIMONE GOLF AND COUNTRY CLUB
RZYM, WŁOCHY
25 WRZEŚNIA - 1 PAŹDZIERNIKA 2023



[Kup książkę](#)



20 Afera graniczna



28 Nowa klauzula sumienia



54 Demon Putin

Rozmowa POLITYKI

- 14 Donald Tusk o tym, dlaczego trzeba być na marszu 1 października, o stawce nadchodzących wyborów, brutalnej kampanii i wsparciu dzielnych ludzi

Polityka

- 20 Rafał Kalukin **Od afery wizowej do afery filmowej**
 24 Katarzyna Kaczorowska
 Kastor Kuźelewski
Bezpartyjni Samorządowcy: kim są i komu się przysługują
 26 Róża Rzeplińska o tym, jak PiS może wydawać miliony, żeby utrzymać się przy władzy

Społeczeństwo

- 28 Martyna Bunda
Aborcja po polsku
 31 Marcin Piątek
Atak na Lewego
 34 Marcin Kołodziejczyk
Dom zły w Czernikach
 37 Zbigniew Borek
Spadek po rosyjskiej armii
 40 Juliusz Ćwieluch **Polityka przy piwie – czyli historia zamykania browaru w Leżajsku**



Ogląd i pogląd

- 44 Edwin Bendyk
Kraj w depresji

Rynek

- 48 Adam Grzeszak **Co z imperium Jana Kulczyka zrobiły jego dzieci**



- 51 Joanna Solska
Wyborcza bitwa o handel

Świat

- 54 Piotr Łukasiewicz **ROSJA W co wierzą Rosjanie**
 57 Piotr Podemski **WŁOCHY Lampedusa to dopiero początek**
 60 Dariusz Kałan **SŁOWACJA Co zostało z wielkiej moralnej rewolucji**
 62 Szabolcs Vörös, Jędrzej Winięcki **WĘGRY Do czego służyły Orbánowi referenda**



Nauka/projektpulsar.pl

- 64 Agnieszka Krzemińska
Złodzieje w muzeach
 67 Karol Jałochowski
Tajemnice szyfrów

Historia

- 70 Antoni Sulek **Skomplikowane relacje między chłopami a Żydami**

- 74 Adam Grzeszak **Rudolf Diesel: inżynier wysokoprężny**
 77 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

- 82 Aneta Kyzioł
Znachor 3.0
 85 Pianistka **Hania Rani** o najnowszej płycie i o tym, jak zmienia swoją muzykę
 88 Aleksandra Żelazińska **Ile warte są internetowe recenzje**
 90 Janusz Wróblewski **W Gdyni wróciło kino historyczne**
 94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
 95 Andrzej Zawadzki **Na wnuczka – zwycięski felieton drugiej edycji „Brzytwy Pilcha”**



Ludzie i style

- 100–105 • **Moda na friluftsliv**
 • Chipy do mózgu • Być delulu
 • Czucie współczucia
 • Reklama luksusowa
 • Wakacje z psem
 • Wino z Mołdawii

Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski • 8 Przypisy
 • 9 Ludzie i wydarzenia
 • 78 Afisz • 96 Koziołek
 • 97 Hartman • 98 Tym
 • 99 Do i od redakcji
 • 106 Polityka i obyczaje

NOWOŚĆ

Wietnam Północny dla koneserów

Zobacz jedno z najbardziej spektakularnych krajobrazów na Ziemi w północnej części Wietnamu i odwiedź zamieszkujące te tereny lokalne plemiona górskie.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Hanoi. Dz. 2 Przyjazd do Hanoi. Wycieczka riksami po zabytkowej części miasta i powitalna kolacja. Dz. 3 Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Muzeum Etnologiczne i czas wolny. Dz. 4 Hanoi – Thong Nguyen. Podróż po północno-wschodnim Wietnamie. Dz. 5 Ośrodek Panhou. Spacer po okolicy i kurs gotowania. Dz. 6 Thong Nguyen – Ha Giang. Wizyta w wiosce Thon Tra i spacer po lesie palmowym. Dz. 7 Ha Giang – Yen Minh – Dong Van. Przetęcz Quang Ba zwana "bramą do nieba", globalny geopark Dong Van, pałac królewski w Sa Phin. Dz. 8 Dong Van – wycieczka po terenach graniczących z Chinami. Wieża flagowa Lung Cu. Dz. 9 Dong Van – Meo Vac – jezioro Ba Be. Lokalny targ i przetęcz Ma Pi Lang. Dz. 10 Jezioro Ba Be. Wycieczka łodzią i wizyty w lokalnych wioskach. Dz. 11 Jezioro Ba Be – Hanoi. Dz. 12 Podróż powrotna. Przelot Hanoi – Warszawa. Dz. 13 Przyjazd do Warszawy.



13 dni | Wylot z Warszawy 26/04 2024 | **11.998,-**



Rejs po Rodanie i Saonie – z Burgundii do Prowansji

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lyonu. Zaokrętowanie na statku. Dz. 2 Chalon-sur-Saône i Mâcon, Francja. Wycieczka do Burgundii z wizytą w Beaune oraz słynnym Hôtel Dieu (dodatkowo płatne). Dz. 3 Mâcon i Trévoux, Francja. Piesza wycieczka do Mâcon. Wycieczki do opactwa w Cluny, Château Cormatin lub Beaujolais z degustacją wina (dodatkowo płatne). Dz. 4 Viviers, Francja. Wycieczka krajoznawcza wokół wąwozu Gorges de l'Ardèche oraz do muzeum lawendy (dodatkowo płatne). Dz. 5 Arles i Awinion, Francja. Piesza wycieczka po Arles ze zwiedzaniem ruin rzymskich oraz wielkiej areny (dodatkowo płatne). Dz. 6 Awinion i Châteauneuf-du-Pape, Francja. Zwiedzanie Awinionu oraz pałacu papieskiego, Pont d'Avignon i średniowiecznych murów miejskich (dodatkowo płatne). Dz. 7 Lyon, Francja. Wycieczka po Lyonie (UNESCO) oraz do imponującej bazyliki Najświętszej Maryi Panny (dodatkowo płatne). Dz. 8 Lyon. Przyjazd do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy
18/09 2024

9.998,-

Norwegia – na tropie zorzy polarnej

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bodø. Przyjazd i kolacja powitalna. Dz. 2 Bodø. Spacer po mieście, rejs statkiem linii Hurtigruten przez wąskie fiordy archipelagu Lofotów do Tromsø. Dz. 3 Przyjazd do Tromsø. Zwiedzanie miasta – Katedra Arktyczna i Muzeum Polarne. Dz. 4 Tromsø. Czas wolny lub możliwość wykupienia wycieczki na obserwację wielorybów. Przejazd do Sommarøy – wieczorna wycieczka w poszukiwaniu zorzy polarnej. Dz. 5 Sommarøy. Psie zaprzęgi i zorza polarna. Dz. 6 Tromsø i podróż powrotna.

6 dni | Wyloty z Warszawy
08/01, 15/02, 23/03 2024

od **9.498,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL37

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Kup książkę



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Temu państwu już dziękujemy

Nie rozumiem upartego przemilczania afery wizowej przez pisowskie media, bo uważam, że jeśli jest coś, co udało się wreszcie państwu PiS skutecznie zorganizować i uruchomić, wprowadzając przy tym w zdumienie cywilizowany świat, to jest to właśnie ta afra.

Dzięki wysiłkom państwa PiS polskie wizy są dziś na świecie towarem znanym i poszukiwanym. W mediach społecznościowych osoby z całego świata chwalą się, że posiadają polską wizę, żywo dyskutuje się o tym, gdzie, za ile i od kogo można najszybciej ten dokument kupić. Polska, która wielu obywatelom krajów Azji i Afryki kojarzyła się do tej pory z Lewandowskim, obecnie kojarzy się z łatwą do uzyskania za przystępną cenę polską wizą.

Skala działań urzędników państwa PiS wywołała zrozumiałe zainteresowanie międzynarodowych instytucji i światowej opinii publicznej. Przerażony kanclerz Niemiec zażądał od polskiego rządu natychmiastowych wyjaśnień, a zaskoczona rozmachem przedsięwzięcia unijna komisarz Johansson w specjalnym liście domaga się dokładnych danych na temat skali aktywności pisowskich służb



dypomatycznych i konsularnych. Trudno się dziwić – nigdy wcześniej żaden europejski rząd otwarcie nie handlował wizami własnego kraju i nie uruchomił kanału do przerzutu, za pieniądze, imigrantów z Azji i Afryki do Europy i Stanów Zjednoczonych.

Z ujawnionych dokumentów wynika, że po otwarciu w Łodzi nowoczesnego Centrum Decyzji Wizowych w MSZ poważnie myślano o wypuszczeniu miliona polskich wiz, niestety ambitne plany pokrzyżowali politycy opozycji, którzy powiadomili o wszystkim media i naskarżyli na polski rząd do UE.

W wyniku antypolskich donosów tych polityków nowo otwarte Centrum trzeba było zamknąć, a polskich wiz pracowniczych może teraz nie otrzymać nawet milion chętnych. Mnie osobiście najbardziej szkoda dużej grupy filmowców z Bollywood, na których sprowadzeniu bardzo zależało ministrowi Glińskiemu. Nie wiem, po co Glińskiemu tylu filmowców, może chciał im powierzyć nakręcenie tych patriotycznych filmów, których nie chcą nakręcić nasi filmowcy, mimo że Gliński obiecał je Polakom. Co prawda media informują, że filmowcy z Bollywood, na wydanie wiz którym miał nalegać Gliński, nie mają nic wspólnego z przemysłem filmowym, ale to akurat lepiej, bo – jak wiadomo – z filmowcami mającymi coś wspólnego z przemysłem filmowym ten minister dogaduje się bardzo słabo.



Rewolucyjny krok w cyfrowej komunikacji z administracją publiczną

Wizyty w urzędach, wypełnianie druczków czy stanie w kolejkach, to wszystko zabiera przedsiębiorcy cenny czas. A przecież czas to pieniądz. Dlatego od grudnia 2023 r. firmy będą mogły korzystać z cyfrowej komunikacji z urzędami. Usługa e-Doręczeń, która jest elektronicznym odpowiednikiem tradycyjnego listu poleconego, stanie się codziennością. To kolejne narzędzie zwiększające cyfryzację państwa, a co za tym idzie, ułatwienie prowadzenia biznesu.

W biurze słychać charakterystyczny dźwięk drukarki, która wydaje kolejne dokumenty. Podpisy, kolejne kartki, znowu podpisy. Następnie koperta i spacer na pocztę. Tak w wielu firmach wygląda rutynowa procedura wysyłania dokumentów do urzędu.

Nawet w średniej wielkości spółkach ilość dokumentów, która krąży pomiędzy różnymi jednostkami administracji publicznej a firmą, jest wręcz nie do zliczenia. Urząd Skarbowy, ZUS, Urząd Wojewódzki – papierowa komunikacja wymaga drukowania oraz wielu wizyt na pocztę. Usługa e-Doręczeń, stopniowo wprowadzana do kolejnych sektorów gospodarki, ma na celu zmienić ten stan rzeczy i ułatwić komunikację pomiędzy przedsiębiorcami a urzędami.

Wygodniej, szybciej i bezpieczniej

Czym są e-Doręczenia? To elektroniczny odpowiednik listu poleconego za potwierdzeniem odbioru. Podmioty publiczne i firmy, w określonym czasie będą zobligowane (a obywatele już mogą) korzystać z wygodnych i bezpiecznych przesyłek elektronicznych. Bez wychodzenia z biura już dziś można wysłać pismo, które jeszcze niedawno było wysyłane tradycyjną pocztą. Cały proces odbywa się bezpiecznie, a także umożliwia łatwą identyfikację adresata oraz zachowanie tajemnicy korespondencji.

Co ważne, e-Doręczenia są równoważne prawnie tradycyjnej przesyłce poleconej za potwierdzeniem odbioru. Obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń dotyczy wszystkich podmiotów publicznych, przedsiębiorców i zawodów zaufania publicznego.

Przedsiębiorcom zawsze brakuje czasu, dlatego proces komunikacji z urzędami i jednostkami publicznymi w formie online, jest prawdziwym udogodnieniem. Dzięki e-Doręczeniom przedsiębiorcy będą mogli wysyłać i odbierać elektroniczne „listy polecone” każdego dnia, o dowolnej porze, z dowolnego miejsca, za pomocą komputera, tabletu czy smartfona. To właśnie te korzyści stanowią największe zalety posiadania przez firmę adresu do e-Doręczeń, umożliwiając jeszcze wygodniejszy i bardziej elastyczny kontakt z instytucjami publicznymi.

Kiedy i dla kogo e-Doręczenia będą obowiązkowe?

W dłuższej perspektywie obowiązek korzystania z e-Doręczeń będzie dotyczył wszystkich podmiotów publicznych oraz firm rejestrowanych w KRS i CEIDG. Jednak nie wszystko wydarzy się od razu. Najwcześniej, już od 10 grudnia 2023 r., obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń i korzystania z tego systemu zostanie wprowadzony w takich jednostkach, jak: organy administracji rządowej, ZUS, KRUS, agencje wykonawcze, instytucje gospodarki budżetowej, państwowe fundusze celowe, samodzielne publiczne zakłady opieki zdrowotnej, PAN, NFZ oraz uczelnie publiczne.

Od **10 grudnia 2023 r.** obowiązek ten będzie dotyczył także firm, które rejestrują swoją działalność w Krajowym Rejestrze Sądowym właśnie po tym terminie. Natomiast przedsiębiorstwa zarejestrowane



w KRS przed tą datą, będą musiały złożyć wniosek o założenie skrzynki do **10 marca 2024 roku**.

W przypadku firm zarejestrowanych w rejestrze CEIDG, kalendarium wygląda nieco inaczej. Od **1 stycznia 2024 r.** adres do e-Doręczeń będzie można założyć podczas rejestracji firmy w CEIDG. Natomiast przedsiębiorstwa założone przed tą datą, na założenie skrzynki będą miały czas do **30 września 2026 r.**

– *Stopniowo wprowadzamy obowiązek posiadania adresu do e-Doręczeń, co stanowi kolejny, bardzo ważny krok w procesie cyfryzacji usług w Polsce i przyniesie wiele korzyści dla całego społeczeństwa. Z pewnością przyczyni się do oszczędności oraz usprawnienia codziennej pracy wielu przedsiębiorców, ale również administracji państwowej – podsumowuje* **Olga Semeniuk-Patkowska, wiceminister rozwoju i technologii.**

Wprowadzenie usługi e-Doręczeń stanowi prawdziwą rewolucję w sferze komunikacji z administracją publiczną. Ten krok przyspieszy wiele procesów i ułatwi kontakt z urzędami.

Przedsiębiorcy zarejestrowani w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) lub Krajowym Rejestrze Sądowym (KRS), jeśli jeszcze nie korzystają z adresu do e-Doręczeń, mogą go założyć już dziś. Wystarczy wejść na stronę **Biznes.gov.pl/e-doreczenia** i złożyć wniosek o założenie adresu. Nawet jeśli przepisy dają jeszcze sporo czasu, warto to zrobić już dziś!

Skąd brać optymizm?



Jerzy Baczyński

Już można sobie wyobrazić, jak TVP i politycy PiS skomentują „marsz miliona serc”, który ma się odbyć 1 października. Będzie ogłoszona porażka Tuska, bo na marszu na pewno nie było miliona, ale „według ocen dziennikarzy TVP” najwyżej 100 tys. Już słyszę o skonfliktowanej opozycji, marszu „zwolenników nieograniczonego otwarcia granic dla imigrantów” czy „obozu zdrady narodowej”, ludzi, którzy gotowi byli oddać wschodnią Polskę pod okupację rosyjską. Wymyślanie innych inwektyw – a na pewno będą – zostawiam sztabowi wyborczemu PiS; pewnie te narracje już są zresztą gotowe. Po wielkim marszu 4 czerwca propagandę PiS na kilkadziesiąt godzin zatkało, długo próbowano marsz przemilczeć, minimalizować, potem wrzucano parasekundowe migawki, które miały ilustrować „agresję tłumu”, ale trauma i narracyjny chaos po 4 czerwca trwały w obozie władzy wiele dni. Teraz na pewno są lepiej przygotowani, bo też i stawka jest wyższa. Dwa tygodnie do wyborów. Tamten czerwcowy entuzjazm co prawda nie przyniósł przełomu w sondażach, ale dał wyborcom antyPiSu najbardziej deficytowe wtedy emocje: poczucie wspólnoty, siły, nadzieję wygranej, optymizm. 1 października ma tamte emocje przypomnieć i wzmocnić, dodać wyborcom i aktywistom energii i wiary na ostatnią fazę kampanii, przekonać, pociągnąć niezdecydowanych. Jak mówi Donald Tusk, gospodarz marszu, w wywiadzie dla POLITYKI: „Największym sojusznikiem władzy autorytarnej i skorumpowanej jest społeczna apatia, niewiara w możliwość zmiany”.

Apropoz „niewiary”. Przy okazji promocji dwóch książek, które właśnie ukazały się w naszym wydawnictwie (Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki „Symetriści” oraz moje „PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat”), mamy ostatnio dość intensywne i bezpośrednie kontakty z czytelnikami. Oczywiście, że są to głównie „kwalifikowani wyborcy” opozycji, ponadprzeciętnie zainteresowani polityką, mający wyrobione oceny i opinie, pewni udziału w głosowaniu. Bez trudu zgadzamy się w opisie tego, jak PiS zdewastował i sprywatyzował polskie państwo, jak podzielił społeczeństwo, popsuł nasze stosunki z Unią, z sąsiadami, jak rozhuśtał najgorsze emocje i resentymenty. (O głębokim kryzysie rozwoju Polski po latach rządów PiS pisze Edwin Bendyk na s. 44). Jest potężna potrzeba zatrzymania „tego szaleństwa” i jednocześnie obawa, niepokój, „czy damy radę”, bo chyba wszyscy wyborcy opozycji są świadomi ogromnej, nieuczciwej przewagi PiS.

Nie chodzi tylko o dominację finansową (wzmocnioną tzw. referendum, o czym mówi Róża Rzeplińska na s. 26), o manipulowanie ordynacją wyborczą, wykorzystanie w kampanii służb specjalnych, prokuratury, mediów państwowych – mówimy i piszemy o tym co tydzień. Jednak wiele osób uważa, że PiS występuje w tej kampanii jeszcze w dwóch zakamuflowanych postaciach, na co łatwo się nabrać: to Konfederacja, której mandaty trzeba – mimo szumnych deklaracji jej liderów – dodawać do PiS, oraz nowa ogólnopolska partia o nazwie

Bezpartyjni Samorządowcy (szerzej na s. 24), której sensem istnienia jest odebranie choćby 2–3 proc. głosów opozycji i zepchnięcie pod 8-procentowy próg Trzeciej Drogi. Wciąż powraca pytanie: czy w tych warunkach te wybory jeszcze można wygrać? Skąd brać optymizm? No to zrobmy małe ćwiczenie.

1. Sondaże. Wskazują wygraną PiS, jednak żadne jak dotąd (poza jednym badaniem państwowego CBOS) nie dają tej formacji samodzielnej władzy. Możliwość stworzenia rządu PiS z Konfederacją lub z grupą posłów wyciągniętych z tej i z innych partii zależy głównie od tego, ile mandatów zdobędzie PiS. Jeśli poniżej 210, co dziś najbardziej prawdopodobne, otworzy się możliwość nowych wyborów i choćby na czas kampanii odstawienia PiS od władzy. W najpopularniejszych w Polsce zakładach bukmacherskich PiS pozostaje faworytem, ale np. w komentarzu z 15 września przeczytałem, że „82 proc. graczy stawia na powrót na fotel premiera Donalda Tuska, Mateusz Morawiecki ma 14 proc.”.

2. Wyborcy opozycji. Od ich mobilizacji zależy zwycięstwo nad PiS. Statystycznie przeciwników obecnych rządów jest dużo więcej niż zwolenników, w proporcji 60:40 albo jeszcze wyraźniej. Także wśród niezdecydowanych, stanowiących (według badań Fundacji Batory) ok. 16 proc. zamierzających wziąć udział w głosowaniu, większość nie poprze PiS. Byle poszli do wyborów. Trwa kilka społecznych kampanii profrekwencyjnych, adresowanych głównie do młodych kobiet, z których połowa wciąż nie wie, czy zagłosuje. Marsz 1 października to też część tej kampanii „idź na wybory”, zwłaszcza że pomysły marszu zrodził się po słynnej „sprawie pani Joanny z Krakowa” i obrona praw kobiet będzie jednym z jego głównych haseł. W ogóle im bliżej wyborów, tym silniejsze ożywienie wyborców opozycji: już 70 tys. osób zgłosiło się do kontroli głosowania, trwa spontaniczna akcja przenosin do „wymagających pomocy” okręgów. Tysiące ludzi bierze udział w wiecach i konwencjach partii opozycyjnych, w spotkaniach z kandydatami, roznoszą ulotki, wieszają plakaty. Ale decydujące będą ostatnie dwa tygodnie – marsz od 1 do 15 października.

3. Partie opozycyjne. Radzą sobie coraz lepiej; wszystkie miały udane wiece, ostatnio w Kielcach świetnie wypadła Trzecia Droga. Nikt nie może powiedzieć, że partie nie mają programu pozytywnego; tych propozycji jest mnóstwo, z różnych dziedzin, i coraz lepiej są promowane także w internecie i mediach społecznościowych. Partie wybrnęły też zręcznie z pułapki referendalnej, jaką zastawił PiS, łamiąc zasadę tajności wyborów: nie ma wezwań do bojkotu, co mogłoby część wyborców w małych miejscowościach (gdzie trudniej odmówić wzięcia karty) zniechęcić w ogóle do udziału w wyborach; można głosować, wrzucać puste lub przedarte kartki, zakreślać (jak na Węgrzech s. 62) wszystkie kratki na tak i na nie – to nie ma znaczenia, tak jak całe to referendum i jego wyniki. Nie ma też już (prawie) wzajemnych ataków partii i liderów opozycji; nawet nieobecność Trzeciej Drogi na marszu 1 października nie budzi już złych emocji, wygląda po prostu jak próba umocnienia się tej formacji wśród – ważnych dla ostatecznego wyniku – wyborców młodszych, „niespolaryzowanych”.

4. Obóz władzy. Już prawie nie ma mowy o żadnym programie, nawet kupowaniu wyborców. Jest jazda bez trzymanki, wszechszczucie, gra polską racją stanu, powagą państwa, wszystkie nieczystości w kampanijny wentylator. Błaszczak „odtajnia” zmanipulowane plany obronne sprzed kilkunastu lat, aby udowodnić „zdradę” nie tylko Tuskowi, ale także polskim oficerom, generałom, sztabowi NATO. Morawiecki szokuje świat i sojuszników, ogłaszając, że w odwecie za napływ ukraińskiego zboża do Polski wstrzyma pomoc wojskową dla walczącej, także w naszej obronie, Ukrainy. Dramatycznie próbuje się przykryć aferę wizową, m.in. niezwykle brutalnymi atakami na film Agnieszki Holland (więcej s. 20, 90, 98), gdzie ona jest „żydokomuną”, a widzowie świniami. Jeśli to nie są objawy paniki, to na pewno ponurej desperacji, poczucia, że to bój ostatni, lęku przed upadkiem i odpowiedzialnością.

Tusk i liderzy opozycji wierzą w wygraną. I chyba można im wierzyć.

Minister ujawnia plany

Mariuszowi Błaszczakowi chyba zabrakło satysfakcji z powodu szczerze podpisywanych kontraktów zbrojeniowych i postanowił zaatakować manewrem oskrzydlająco-szkalującym Donalda Tuska i ministra obrony Bogdana Klich. Wypuścił spot wyborczy, a w nim... fragmenty ściśle tajnego „Plan użycia sił zbrojnych RP” z 2011 r. Pieczętowanie dobranymi wersjami mają dowodzić, że wschodnia część Polski miała zostać – o zgrozo! – oddana Rosjanom. Ubrany w zieloną koszulę, z miną ponurą Błaszczak obwieścił zdradę i postraszył, że Tusk pozwoliłby, by w Lublinie, Chełmie i Siedlcach Rosjanie dokonali zbrodni wojennych jak w ukraińskiej Buczy. Później pracownik TVP Michał Rachoń opublikował całą stronę tajnej „Oceny sił zbrojnych” z 2012 r., gdzie żółtym zakreślaczem podkreślono, że siły zbrojne przed przeważającą przeciwnikiem miały opóźniać i bronić się na dalszych rubieżach. A przecież, jak dowodzi Błaszczak, trzeba bronić się już na granicy. Jak w 1939 r. – dodaliby złośliwcy!

Pierwszy problem jest oczywisty: nie wolno ujawniać tajemnic wojskowych, nawet jeśli się rzekomo dezaktualizują. Wróg śledzi każdy przeciek, każdą publikację i może porównać to, co już wie o polskiej obronie, z tym, co z nonszalancją upubliczni Ministerstwo (jawnej) Obrony Narodowej. Ale plany z 2011 r. tworzone były przez sztab generalny z uwzględnieniem stanu posiadania wojska i założeniem, że Polski nie stać na samodzielną obronę. Zatem trzeba walczyć tak, by dać sojusznikom czas na przyście z pomocą. Jeden z wariantów



mógł zakładać cofanie się przed przeważającym wrogiem najdalej do linii Wisły. Ktoś mógłby więc zapytać, czy obecny zasób naszej armii jakoś radykalnie się powiększył od 2012 r.? Błaszczak może mieć nas obietnicą 500 HIMARSÓW i tysiąca Abramsów za pięć lat, ale teraz mamy nawet mniej niż w 2011 r., bo kilkaset czołgów przekazaliśmy Ukrainie. Można więc założyć, że we współczesnych planach zmienił się język na bardziej hurraulański, ale istota polskiej doktryny obronnej pozostaje ta sama. To grube naruszenie tajemnic państwa.

Druga sprawa: planów nie tworzył ani Tusk, ani Klich, ale pisali je generałowie i oficerowie sztabu generalnego. Czy zatem oni też są winni planowania Buczy w Lublinie? Aż prosi

się o taki wniosek z wyborczych publikacji Błaszczaka i Rachonia. Jak się teraz panowie generałowie, wciąż służący w Wojsku Polskim, którzyście te plany jako pułkownicy w 2011 r. pisali, czujecie?

I jeszcze „drobny” problem: to nie plany polskie ujawnił Błaszczak, ale... natowskie. Jeśli tylko spojrzymy poza żółty zakreślacz Rachonia z ujawnionego dokumentu, to przeczytamy zdanie, że „Ocena sił zbrojnych” zawiera „uszczegółowienie treści zawartych w sojuszniczych planach wzmocnienia Polski” oraz „zadania przydzielone SZ RP przed dowództwem Sojuszu”. Czyli, że dokument polski jest tylko fragmentem tego, co w żargonie NATO określa się jako plany ewentualnościowe Sojuszu. Oby tylko NATO się do tej afery nie odniosło publicznie i samo nie ujawniło największej tajemnicy wojskowej: że Polacy już do reszty zgłupieli.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Wolność, równość i PiS

Policja przerwała wyborcze wystąpienie posłanki KO **Kindze Gajewskiej**, wciągając ją siłą do radiowozu, gdy opodal wiecu Mateusza Morawieckiego przez megafon usiłowała prostować kłamstwa rządu na temat afery wizowej. Policja nie przybyła natomiast na wezwanie Donalda Tuska, którego konferencję pod TVP zerwał jej gwiazdor Michał Rachoń. Tak wygląda równość tej kampanii wyborczej. Wyjaśnień na temat naruszenia immunitetu Kingi Gajewskiej zażądał RPO. Policja nie stwierdziła naruszenia. Wyjaśniła, że: po pierwsze, posłanka nie wylegitymowała się, mimo że miała na to aż kilkanaście sekund. Po drugie, policja nie zna wszystkich parlamentarzystów. Po trzecie, nie musi wierzyć na słowo, jak ktoś mówi, że jest posłanką. Po czwarte, wcale posłanki nie zatrzymała, tylko umieściła ją w radiowozie celem wylegitymowania. Po piąte, posłanka popełniła wykroczenie, zakłócając spokój i budząc zgorszenie. I po szóste, jej zgromadzenie nie było zgłoszone do urzędu miasta.

Po pierwsze, kilkanaście sekund to za mało na wylegitymowanie się. Po drugie, kwalifikacja prawna czynu: art. 51 Kodeksu wykroczeń (zakłócanie pokoju, porządku



publicznego, spoczynku nocnego lub wywołanie zgorszenia krzykiem, hałasem, alarmem lub innym wybrzykiem), jest wątpliwa w sytuacji, gdy chodzi o korzystanie z prawa wyborczego (kampania) i wolności debaty publicznej (na temat nielegalnego handlu wizami). Po trzecie, wylegitymowanie nie powinno się odbywać w radiowozie, bo wtedy dochodzi do zatrzymania. Po czwarte, nadużyto środków przymusu bezpośredniego, bo posłanka nie stawiała oporu. Po piąte, naruszono jej poselską nietykalność z powodu domniemanego wykroczenia, choć prawo

pozwała na to tylko w razie zatrzymania na gorącym uczynku w przypadku przestępstwa. I po szóste, posłanka miała prawo skorzystać z możliwości zgromadzenia spontanicznego, które zgłoszenia nie wymaga. Jak widać, to nie jest prawo dla wszystkich.

Orówności w tych wyborach wiele też mówi ujawniona przez „Gazetę Wyborczą” sprawa inwigilowania Pegasusem przez ABW cztery lata temu emerytowanego generała Waldemara Skrzypczaka. Generał inwigilację wiąże z faktem, że spotykał się z liderami opozycji, którzy namawiali go do startu w wyborach. Wojskowi to – obok opozycji, samorządowców, pracodawców, adwokatów, rolników czy prokuratorów – kolejne środowisko inwigilowane w tamtej kampanii. Naiwnością jest sądzić, że to samo nie dzieje się teraz. Pegasusu już nie ma, ale władza, która rządzi służbami, ma do dyspozycji mnóstwo innych narzędzi, które dają ten sam efekt. Mogą ich używać, bo nie ma nad inwigilacją niezależnej kontroli. Nad policją zresztą też. Sprawa nadużycia przez nią władzy wobec posłanki Gajewskiej została zgłoszona do prokuratury Zbigniewa Ziobry. Innej nie mamy. Nie mamy też wolnych, równych i uczciwych wyborów. W 1989 r. też nie mieliśmy, ale się udało.

EWA SIEDLECKA

Czyja będzie Polska?

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.



Postępująca od ośmiu lat prywatyzacja państwa przez PiS jest odbiciem pytania, które padło z ust Jana Olszewskiego w dniu upadku jego rządu przeszło 30 lat temu i brzmiało: „Czyja będzie Polska?”. Jarosław Kaczyński uporczywie do niego wraca, podobnież jego akolici.

Jacek Sasin w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci” ubolewał, że „znowu musimy sobie zadać to pytanie”. Od premiery dowiadujemy się, że Polska może należeć do wszystkich lub tylko do oligarchów, prezes PiS inaczej stawia akcenty, zwłaszcza w końcówce tej kampanii wyborczej: „Czy Polska jest Polaków, czy tylko niektórych Polaków, a może w ogóle nie-Polaków?”. Prezes nie przepuścił okazji, jaką była premiera filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”, i jeszcze wyostrzył podział na swoich oraz będących „armią Putina” obcych. Antypolscy są wszyscy ci, którzy nie głosują na PiS, innego kryterium nie ma. Poza narodową wspólnotę wyrzuca się więc ogromną część społeczeństwa, bez oglądania się na długofalowe konsekwencje, bo Kaczyńskiego zajmuje wyłącznie utrzymanie władzy, *per fas et nefas*.

A jednocześnie trwa zagarnianie Polski, wszystkich tych jej zasobów, po które – niczym po wojenny łup – mogą sięgnąć i sięgają ludzie partyjnego aparatu. Znajduje to także odbicie w języku Kaczyńskiego, dla którego zdobycie władzy było równoznaczne z „odzyskiwaniem” resortów oraz instytucji, jak gdyby były one kontrolowane przez siły wrogie, wręcz okupacyjne, stąd konieczność przeprowadzenia do spodu czystki kadrowej. Kolejnym krokiem było dojenie państwa, prymitywne i na bezprecedensową skalę przepompowywanie pieniędzy do partii i do prywatnych kieszeni. Bo pytanie „czyja będzie Polska?” ma wymiar wyłącznie praktyczny:

Polska ma być PiS-u, a przede wszystkim prezesa Kaczyńskiego – jego prywatnym folwarkiem.

W programie wyborczym PiS czytamy, że postkomunizm, którego widmo, zdaniem prezesa, wciąż krąży nad Polską, traktował władzę jako cel sam w sobie, a „jej utrzymaniu miała służyć rozbudowana propaganda, walka z pluralizmem mediów, kreowanie wewnętrznego wroga oraz odwoływanie się do socjotechniki. System ten zasadał się na społecznej apatii, zawłaszczaniu państwa i zwalczaniu obywatelskiej krytyki władzy”. To autokarakterystyka, będąca znanym psychologom zjawiskiem projekcji. Zastosowanie znajduje też inny mechanizm, typowe dla populistów mamienie społeczeństwa, że odzyskuje się państwo dla nich. A nim się obejrzą, tracą podmiotowy status obywateli i już jako klienci wiszą u pańskiej klamki. Bo folwark jest przestrzenią hierarchiczną, a rządca nie jest sługą fernali.

Z wywiadu „Nadgonić czas...” ze Zdzisławem Najderem, autorem pamiętnego przemówienia Olszewskiego, możemy się dowiedzieć, że pierwotnie przywoływany fragment tekstu brzmiał inaczej – premier miał powiedzieć, że „to – jaka będzie Polska – to się dopiero musi rozstrzygnąć”, ale zamienił „jaka” na „czyja”. I tylko w takiej nowej formie to pytanie mogło pójść z Jarosławem Kaczyńskim w kolejne dekady. Bo prezesa w ogóle nie interesuje stan państwa – kraj może być słaby, zadłużony, osamotniony na arenie międzynarodowej, ustrojowo przesunięty na Wschód, wszystko to furda! Liczy się tylko stan posiadania Nowogrodzkiej.

Takie podejście właściwie wyklucza transzycję władzy. Bo wygrana opozycji oznacza, że PiS traci wszystko lub prawie wszystko, okopami Świętej Trójcy może być Pałac Prezydencki czy NBP, to mało dla tak żarłocznej partii jak PiS. Kaczyński z Morawieckim będą się chwycić wszystkiego, byle tylko Polski nie wypuścić z rąk. Rozmawiali się w byciu właścicielami, a zmiana tego stanu rzeczy napawa ich lękiem. Stąd ta potęgowana z dnia na dzień narracja, że Polska albo będzie PiS-u, albo jej nie będzie wcale.

Strażak Probiez

Misję wyciągnięcia piłkarskiej reprezentacji z bagna, w które sama się wpakowała – w kwalifikacjach do mistrzostw Europy wyprzedza w grupie tylko Wyspy Owcze – dostał **Michał Probiez**, zaufany człowiek prezesa PZPN Cezarego Kuleszy, z czasów wspólnej pracy w relacji właściciel-trener w Jagiellonii Białystok.

Probiez niedawno skończył 51 lat, a trenerem jest dobre pół życia. Dość szybko zdał sobie sprawę, że jako piłkarz wielkiej kariery nie zrobi – w słabej polskiej lidze grał w przeciętnych zespołach, nie poradził sobie na zapleczu niemieckiej Bundesligi. Postawił więc na kursy szkoleniowe, które łączył resztą przez jakiś czas z trenowaniem zespołów dziecięcych oraz halowych. Jako trener klubowy lokalne sukcesy na polskim podwórku – przede wszystkim Puchar Polski – przeplatał kompletnie nieudanymi epizodami. Wyrobił



sobie jednak renomę człowieka czytane go i inteligentnego, mającego perspektywę wykraczającą poza „trenerkę”. Dlatego właściciel Cracovii Janusz Filipiak zrobił Probieza jednocześnie trenerem i wiceprezesem. Spędził w tej podwójnej roli cztery lata, ale projektu na miarę ambicji właściciela nie stworzył.

Weuropejskich pucharach zaliczył paśmo klęsk. Prowadzone przez niego zespoły odpadały już w rundach kwalifikacyjnych m.in. z rywalami z Grecji, Słowacji, Cypru i Kazachstanu. Probiez narzekał potem na błędy sędziów oraz własnych piłkarzy, stan boiska i odwieszne niedomaganie systemowe: słabą bazę infrastrukturalną oraz posezonowy exodus piłkarzy, na miejsce których trzeba szukać zastępców z łapanek. W reprezentacji Probiez ma nieograniczony komfort budowy drużyny – żaden zawodnik nie odmówi mu powołania. Mówi się o nim, że nie znosi sprzeciwu, jest apodyktyczny i wybuchowy. Swego czasu konflikt z szatnią kosztował go posadę w Wiśle Kraków. W reprezentacji zderzył się z zawodnikami na co dzień funkcjonującymi w zachodnich realiach futbolowych i mającymi tam styczność z fachowcami, przy których CV Probieza nie robi żadnego wrażenia. Może selekcjoner zaimponuje im, cytując fraszki Jana Sztaudyngera, którego twórczość zna ponoć na wyrywki. (MP)

To był najgorszy tydzień
w relacjach Polski i Ukrainy
od początku wojny. Możemy
za to drogo zapłacić.

Jak za zboże



Komisja Europejska 15 września nie przedłużyła embarga na niektóre produkty rolne z Ukrainy do pięciu państw wschodniej flanki Unii, w tym do Polski. W reakcji Warszawa wprowadziła swoje embargo – wbrew unijnemu prawu, ale zgodnie ze specyficznym pojmowanym interesem narodowym, nieprzypadkowo pokrywającym się z interesem PiS przed zbliżającymi się wyborami. I się zaczęło.

W poniedziałek, 18 września, Ukraina złożyła skargę do Światowej Organizacji Handlu (WTO) na Polskę oraz na Węgry i Słowację, które również wprowadziły embarga (Słowacja już się z niego wycofała). Po ostrych słowach ukraińskich ministrów na całość poszedł prezydent Wołodymyr Zełenski, który 19 września w ONZ powiedział, że „niektórym z naszych przyjaciół w Europie wydaje się, że grają na siebie, a w rzeczywistości pomagają przygotować scenę dla aktora z Moskwy”. Tego samego dnia prezydent Andrzej Duda oświadczył w wywiadzie: „W konflikcie o zboże Ukraina zachowuje się jak tonący, a człowiek w takiej sytuacji może być niebezpieczny i wciągnąć innych w głębinę”.

Potem było już tylko gorzej. Politycy PiS zaczęli mówić o niewdzięczności Ukraińców. Rzecznik rządu Piotr Müller zapowiedział, że w przyszłym roku Ukraińcy nie będą już otrzymywać dodatkowych świadczeń socjalnych. A premier Mateusz Morawiecki w Polsce przyznał: „Nie przekazujemy już żadnego uzbrojenia, bo my sami się teraz zbroimy w najbardziej nowoczesną broń”, co natychmiast podchwyciły z wielkim zdziwieniem zachodnie media. Polska miała opinię oddanego i najwierniejszego sojusznika Ukrainy, a polskie społeczeństwo zasłynęło z bezgranicznej gościnności wobec napadniętych sąsiadów. Ten obraz miał teraz runąć na skutek kampanii wyborczej PiS? CNN napisał: „Kijów i Warszawa wzięły się za łby”. A zapytany przez kanadyjskich dziennikarzy o relacje z Polską Zełenski odpowiedział: „Pomagasz Ukrainie albo Rosji”.

To wielka odmiana wobec sytuacji z początku wojny. Wówczas obopólna sympatia i entuzjazm sprawiły, że gdy Komisja Europejska zaproponowała wpuszczenie ukraińskiego zboża na unijny rynek (mówiono o tranzycie, ale nie wykluczono też sprzedaży), nikt nie protestował. Od razu było jednak jasne, że nieograniczony napływ zboża do Polski spowoduje nie tylko zapchanie się infrastruktury tranzytowej (silosów, portów) i w ten sposób utrudni

eksport polskiego zboża, ale też będzie stanowił konkurencję dla polskiej produkcji, przed czym przestrzegał, atakowany wtedy przez PiS, Donald Tusk.

Dlatego w maju tego roku polski rząd wraz z kilkoma innymi państwami regionu przekonał Komisję do wprowadzenia embarga na import ukraińskich produktów rolnych, w tym przede wszystkim pszenicy, do Bułgarii, Polski, Rumunii, Słowacji i Węgier (tranzyt pozostał bez zmian). I właśnie brak jego przedłużenia wywołał dyplomatyczną pyskówkę. Sama Komisja nie jest bez winy. O ile wpuszczając w zeszłym roku ukraińskie zboże do Unii, zachowała się „po polsku” (z entuzjazmem, nie myśląc o konsekwencjach), to już decyzja o nieprzedłużeniu embarga, a szczególnie jej uzasadnienie – że nie ma już zakłóceń na wspólnym rynku (co może jest prawdą w Portugalii, ale nie w Polsce), nosi znamiona decyzji politycznej.

Z kolei po stronie ukraińskiej warto oddzielić retorykę od rzeczywistych posunięć. Kilka dni temu Ukraina zapowiedziała, że w odwecie za zboże wprowadzi zakaz importu polskich jabłek, cebuli i warzyw. Zabrzmiąło groźnie, ale tych produktów eksportujemy niewiele. Gdyby Ukraina naprawdę chciała nam wypowiedzieć wojnę handlową, to nałożyłaby szlaban na polskie produkty mleczarskie, na eksporcie których nasze mleczarnie zarabiają krocie.

Ukraińskie plody rolne, takie jak pszenica, wydają się zagrożeniem dla polskiego rynku, ale inne kraje „przyfrontowe” widzą w nich szansę na zarobek. Rumunia rozbudowuje infrastrukturę i już zarabia na transporcie ukraińskiego zboża przez swoje porty naddunajskie, w tę stronę zmierza też Bułgaria. Po wycofaniu się Słowacji z embarga zostaliśmy na placu boju tylko z Węgrami.

Zakaz importu ukraińskiego zboża popiera spora część Polaków. Co na nim zyskujemy? Nic, bo od naszego zakazu jego ceny na europejskim rynku nie wzrosły i nie wzrosną, sytuacja naszych rolników jest nadal zła. Marnujemy natomiast szansę, którą już teraz wykorzystują inne kraje – Francuzi, Holendrzy, Niemcy – rozmawiając z Ukrainą na temat inwestycji w ukraiński przemysł spożywczy.

Europie potrzebna jest tania żywność wysokiej jakości. Ukraińcy, na razie, mają tylko tanie plody rolne, rozwiniętego przemysłu spożywczego na Ukrainie nie ma. Takiego, który jest w stanie spełniać surowe europejskie standardy, takiego, który ma Polska. Ale już teraz trwają intensywne rozmowy Ukraińców z zachodnim biznesem na temat inwestycji, które zaczną się, jak tylko skończy się wojna. Polska w nich nie uczestniczy.

Na poziomie dyplomatycznym zaskakujący jest jeszcze wątek niemiecki. Opierając się na ostatnich wypowiedziach prezydenta Ukrainy, który m.in. zaapelował w ONZ o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa dla Niemiec, widać tu wyraźne zbliżenie. I oczywiście można się na to zżymać, biorąc pod uwagę co najmniej dwuznaczne zachowanie się Niemców na początku wojny i późniejszą obstrukcję pomocy dla walczących Ukraińców. Ale według naszych rozmówców kryje się za tym wyraźna reorientacja ukraińskiej polityki zagranicznej.

Po pierwsze, Niemcy – w odróżnieniu do Polski – mają jeszcze Ukrainie wiele do zaoferowania, w tym sprzęt wojskowy i wsparcie w odbudowie. Nie przypadkiem przyszłoroczne forum na temat odbudowy Ukrainy zaplanowano w Berlinie. Po drugie, Kijów jest zdania, że fundamentalny dla niego cel – członkostwo w Unii Europejskiej – jeśli w ogóle jest do osiągnięcia, to raczej ze wsparciem Berlina niż Warszawy skonfliktowanej z Brukselą.

Z polskiej perspektywy można to uznać za ukraińską megalomanię, ale Kijów rzeczywiście stara się grać w zupełnie innej lidze dyplomatycznej. Co w sumie wydaje się naturalną reakcją na fakt, że napadło ich mocarstwo atomowe – z podobnymi mocarstwami muszą się więc układać. Ale efektem ubocznym jest spadek znaczenia Polski jako aktora dziś w Europie jednak drugo- czy trzeciorzędnego.

JOANNA SOLSKA, ŁUKASZ WÓJCİK



Sukcesja

Pierwotwór seniora rodu w głośnym serialu „Sukcesja”, 92-letni **Rupert Murdoch**, ogłosił w piątek, że odchodzi na emeryturę. Jego syn **Lachlan** przejmie po nim globalne imperium medialne, które – jak twierdzi wielu komentatorów – zmieniło bieg historii USA, Wielkiej Brytanii i Australii. „Bez tej potęgi Murdocha Donald Trump nie zostałby prezydentem, a Brytyjczycy nie wyszliby z Unii. Wyrządził ogromne szkody dla demokracji na całym świecie”

– twierdzi Malcolm Turnbull, były premier Australii. To właśnie z tego kraju pochodzi Murdoch, który przed 71 laty odziedziczył po ojcu wielką gazetę w Adelajdzie. Obecnie kontroluje dwie trzecie australijskiej prasy, popularne tabloidy w Wielkiej Brytanii i w Ameryce oraz poważne dzienniki, takie jak nowojorski „Wall Street Journal” i londyński „The Times”. Jednakże perłą w koronie Murdocha jest amerykańska telewizja Fox News, stworzona w 1996 r. na przekór stereotypom, że telewizja informacyjna powinna być wyważona i bezstronna.

Fox News jest bezwstydnie stronnicza (tzn. prawicowa) i nieustannie podsyca emocje. Stała się pionierką gatunku nazywanego *angertainment*, czyli „rozrywki opartej na rozwścieczeniu widzów”. Sukces biznesowy i polityczny był taki wielki, że Fox News sama padła jego ofiarą. Kiedy ogłosiła, że Trump przegrał wybory w listopadzie 2020 r., rozwścieczeni widzowie nie przyjęli tego do wiadomości i masowo przełączali się na bardziej radykalne klony Fox News. Żeby ratować wskaźniki oglądalności, Murdoch nakazał podwładnym, żeby promowali brednie Trumpa o „skradzionych” (czyli sfałszowanych) wyborach. Wiadomo to z maili ujawnionych w procesie o zniesławienie, jaki wytoczyła Murdochowi zliczająca głosy firma Dominion. Proces zakończył się ugodą w kwietniu br. – Fox News zapłaciła 800 mln dol. odszkodowania.

Murdoch zostawia Lachlanowi, swojemu najstarszemu synowi, niełatwy dylemat: jak pozostać liderem gatunku *angertainment*, kiedy jeszcze bardziej cyniczna konkurencja depcze po piętach, a poziom społecznego niezadowolenia jest tak wysoki, że zagraża wyważeniu demokracji w powietrze (czego przedsmak dał już atak tłumu na Kapitol dwa tygodnie przed zaprzysiężeniem Joe Bidena). Lub, mówiąc krócej: jak nie dać się pożyć rewolucji, którą się samemu wywołało.

Indie, Kanada i Sikhowie

Premier Justin Trudeau ogłosił, że „istnieją wiarygodne przesłanki”, iż za zabójstwem mieszkającego w Kanadzie Sikha, Hardeepa Singha Nijjara, stoją indyjskie siły specjalne. Nijjar, obywatel Kanady, został zastrzelony w czerwcu przed sikhijską świątynią na przedmieściach Vancouver przez dwóch zamaskowanych sprawców, których nie odnaleziono. Należał do liczącej 770 tys. wspólnoty sikhijskiej w Kanadzie, największej poza Indiami, i był gorącym orędownikiem utworzenia Chalistanu, niezależnego państwa sikhijskiego na terenie Pendżabu, gdzie Sikhowie są w większości (w całych Indiach wyznawcy sikhizmu stanowią ok. 2 proc.).

Apogeum sikhijskiego separatyzmu przypadło na lata 80. i związane było z dwoma dramatycznymi wydarzeniami. Krwawo stłumionym powstaniem zbrojnym, zakończonym w 1984 r. szturmem na okupowaną przez separatystów Złotą Świątynię w Amritsarze, a także – w odwecie – zabójstwem premier Indiry Gandhi przez dwóch sikhijskich ochroniarzy, które wywołało falę pogromów.

Separatyzm sikhijski został spacyfikowany, przetrwał na emigracji: w Wielkiej



Brytanii, Australii i właśnie w Kanadzie. Nijjar był tu czołową postacią i ostatnio organizował wśród rodaków symboliczne referendum w sprawie wolnego Chalistanu, idei dziś utopijnej. Wspólnota podtrzymuje, że działał wyłącznie metodami pokojowymi. Indie uznawały go za terrorystę i wyznały 1,2 mln dol. nagrody za jego głowę. Teraz wydarzenia eskalowały błyskawicznie: Indie uznały oskarżenie za „absurdalne” i uruchomiły antykanadyjską propagandę, obie strony usunęły dyplomatów, a Indie dodatkowo wstrzymały wydawanie wiz.

Sytuacja jest trudna i niewdzięczna. Dla Kanady i całego Zachodu Indie to dziś newralgiczny partner w powstrzymywaniu

rosnącej potęgi Chin (zresztą i z Chińczykami Kanada ma na pieńku, oskarżając ich o mieszanie w ostatnich wyborach). Indie pod rządami nacjonalisty Narendry Modiego budują międzynarodowy prestiż, z sukcesem przewodziły w Delhi grupie G20 oraz odbijają Kosmos, a jedno skrytobójstwo (patrz: Arabia Saudyjska po morderstwie dziennikarza Chasodżdżiego) mogłoby nadwyrężyć te starania. Liczące 1,4 mld ludzi Indie są dziś w geopolityce bardzo potrzebne, stąd umiarkowane reakcje na rewelacje Trudeau największych zachodnich partnerów Kanady. W Kanadzie pojawiły się nawet opinie, że w swoim oburzeniu został sam.

Karabach podbity

Azerbejdżan przejął pełną kontrolę nad Górskim Karabachem. Odzyskał swoje terytorium, co teoretycznie powinno kończyć 35 lat krwawego konfliktu toczącego z Armenią i społecznością karabachskich Ormian. Jednak w praktyce wydłuża tylko rachunek krzywd i zmienia układ sił na pograniczu Europy i Azji, otwierając pole do kolejnej poważnej konfrontacji. Wojska Azerbejdżanu potrzebowały ledwie jednodniowej ofensywy, by 20 września zmusić siły karabachskie do kapitulacji. Władze w Baku zapowiadają teraz integrację regionu z resztą kraju, obiecują negocjacje i konsultacje. Miejscowi Ormianie słyszą w tych zapewnieniach perspektywę przesładowania. Według Armenii jest ich 120 tys. Obawiają się zemsty i czystek etnicznych, napędzanych programową azerbejdżańską – jak mówią – antyormiańskością oraz autorytarnymi metodami reżimu prezydenta Ilhama Alijewa. W związku z tym jedynym wyjściem zdaje się im dziś ucieczka. Exodus już trwa, kilka tysięcy uchodźców zbiegło do Armenii, schroniło się w rosyjskiej bazie wojskowej i w połowym ośrodku, rozbitym na jedynym lotnisku w Karabachu.

Wrześnie walki, w których zginęło kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych, toczyły się przy apatii kontyngentu rosyjskich sił pokojowych. Karabach nie dostał też wsparcia siostrzanej Armenii.



Jej premier Nikol Paszynian pełną odpowiedzialnością za sytuację obarcza Azerbejdżan, robi też wyrzuty Moskwie, z którą Erywań jest przecież w przymierzu wojskowym. Natomiast Ormianie, którzy wyszli na ulicę, mają pretensje do Paszyniana i oskarżają go o bezczynność i pozostawienie Karabachu na pastwę Alijewa.

Los Paszyniana jest niepewny. On sam sugeruje, że okoliczności zechce wykorzystać Rosja, próbując destabilizować Armenię, która rozczarowana brakiem rosyjskiego wsparcia przepływała ostatnio ku Zachodowi. Ale nawet najwięksi tradycyjni przyjaciele, jak Francja, zdobyli się jedynie na potępienie napastników. Ceną wstawienia się za Ormianami byłby kurs kolizyjny z Turcją, sprzymierzoną z Alijewem i potrzebną Europie do blokowania migracji, a Rosji do wbijania klina w system zachodnich sankcji.

Pierwszy Żołnierz Ameryki

Na szczycie sił zbrojnych USA kończy się era gen. Marka Milleya. Przysiadzisty, siwiejący generał armii ustępuje miejsca szczupłemu, łysemu lotnikowi **Charlesowi Brownowi**, który zamiast imienia się skrótowo CQ.



Gen. Brown wojsko ma w genach przez ojca i dziadka. Ale młody Charlie chciał być inżynierem. Gdy ukończył kurs oficerów rezerwy, wstąpił do czynnej służby i został pilotem, instruktorem i sztabowcem na następne 30 lat.

Brown nie będzie pierwszym czarnoskórym szefem połączonych sztabów. Pionierską nominację otrzymał w 1989 r. od George'a Busha seniora gen. Colin Powell. Ale po raz pierwszy w historii USA przedstawicielami czarnej mniejszości będą zarówno sekretarz obrony, Lloyd Austin, jak i jego najważniejszy wojskowy doradca. Już powołanie Browna trzy lata temu na zwierzchnika sił powietrznych było

znakiem kulturowego zwrotu prezydenta Bidena. Teraz konserwatywna prawica w nowym szefie sztabu widzi symbol politycznej promocji przedstawicieli mniejszości. Walka z *wokeizmem*, ich przebudzeniem społecznym, to jedno z ulubionych haseł populistów, w tym Donalda Trumpa. Jeśli więc Trump ponownie wygra wybory w 2024 r., relacje szefa sztabu z głównodowodzącym mogą być „ciekawe”.

W amerykańskim systemie szef sztabu niczym nie dowodzi, jest doradcą prezydenta i sekretarza obrony, którzy wydają rozkazy dowódcom regionalnym i odpowiedzialnym za globalne systemy wsparcia. Ale to przewodniczący i urząd połączonych szefów sztabów tworzą amerykańskie strategie. Ameryka wspiera dziś Ukrainę przeciw Rosji, ale przygotowuje się na konfrontację z Chinami. Brown lata służby spędził na Pacyfiku, ale odpowiadał za operacje w dowództwie w Ramstein, gdy Rosja pierwszy raz napadła na Ukrainę. Teraz na biurku będzie mieć i wojnę w Europie, i rywalizację w Azji, ale bardziej utrzymanie prymatu Ameryki bez wdawania się w walkę.

Winolanie

Najpierw Unia Europejska, a teraz francuski rząd ruszyły na ratunek francuskiemu winu – chcą je niszczyć, aby zatrzymać spadające ceny. W lipcu Bruksela obiecała 160 mln euro na interwencyjny skup wina, teraz francuskie ministerstwo rolnictwa dorzuciło 200 mln euro. Z tak pozyskanego trunku można jeszcze wyciągnąć alkohol. Już nie spożywczy, ale wykorzystywany przy produkcji płynów do dezynfekcji, środków czystości i perfum. A to wcale nie był początek tej specyficznej akcji ratunkowej. W czerwcu to samo ministerstwo, przerażone spadkiem popytu, ogłosiło dopłaty do karczowania winnic – 6 tys. euro za hektar, lub do zmiany upraw, np. na oliwki.

Co się dzieje z winem? Według francuskiego rządu jego ceny pospadały w przeciągu ostatniego roku średnio o 20–30 proc. We francuskich supermarketach można kupić niecałą butelkę już za 2 euro. Po wódów jest kilka.



Po pierwsze, zmiana gustów – Europejczycy porzucają wino dla piwa. Po drugie, produkcja wina jest coraz droższa z powodu zmian klimatycznych, a ostatnio również wysokich kosztów energii. I po trzecie, spożycie tąpnęło w związku z pandemią (pozamykane restauracje i bary) i nie wróciło do wcześniejszych poziomów. Podobny kryzys winny Europa przerabiała już w pierwszych latach XXI w. Wówczas jednak problemem nie był spadek popytu, ale nadprodukcja spowodowana rozbudowanym systemem subsydiów. Tych jednak nie ograniczono i w 2022 r. Unia wydała na dopłaty dla producentów wina ponad miliard euro. A teraz, rok później, dopłaci za jego niszczenie.

Do wylewania wina przymierza się również Australia, czwarty producent na świecie (pierwsze są Włochy, potem Francja i Hiszpania). A z innych powodów. Australijczycy w rekordowym 2020 r. wyeksportowali do Chin wino za 1,2 mld dol. amerykańskich, ale już w tym roku – tylko za 8 mln. To efekt ceł nałożonych przez Pekin na australijskie towary z powodów politycznych – Canberra obrała bardzo antychiński kurs. Efekt jest taki, że Australijczycy mają na zbyciu równowartość 2,8 mld butelek wina – to ponad 100 butelek na obywatela.